GOSPODARKA NARODOWA
NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY
WARSZAWA, 15 KWIETNIA 1938 R.
Nr. 8 ROK VIII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 8
1938 R.
15 — IV

KAZIMIERZ LUBICZ

KIERUNKI REFORMY FINANSÓW SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO

Samodzielność samorządu terytorialnego w wydawaniu grosza publicznego musi zachować równowagę oraz iść w parze z samodzielnością w jego gromadzeniu.

Zasadnicza reforma finansów samorządu terytorialnego powinna pójść w kierunku rozszerzenia uprawnień związków samorządowych do nakładania — odrębnych od państwowych — samoistnych danin komunalnych oraz w kierunku częściowego dotowania (premiowania) funduszów ogólnopaństwowych specjalnych zadań publicznych, zlecanych samorządom do wykonania w ramach aktualnych programów państwowych.

Zagadnienie zasadniczej reformy finansów samorządowych, jak to można wywnioskować z zapowiedzi Rządu oraz dyskusji, jakie się toczą na terenie Parlamentu ex re różnych sezonowych nowelizacji tymczasowej (15 lat tymczasowości!) ustawy o finansach komunalnych, staje się niewątpliwie zagadnieniem najzupełniej dojrzałym do pozytywnych rozstrzygnięć.

Problem wyposażenia związków samorządowych w środki finansowe wypływa i wiąże się ściśle z istotą stosunku Państwa do samorządu terytorialnego.

Gromadząc w swoich rękach część dochodu społecznego na cele gospodarki publicznej, Państwo współczesne oddaje uzyskane fundusze do dyspozycji czynników publicznych, zapewniających największą gwarancję celowego oraz zgodnego z interesami i życzeniami społeczeństwa zużycia tych funduszów.

Z ramienia Państwa dysponują funduszami publicznymi: rząd, przy pomocy aparatu scentralizowanego, samorząd terytorialny — przy pomocy autonomicznych aparatów lokalnych. Autonomia samorządowych aparatów dysponujących jest tem większa, im dokładniejsze jest rozgraniczenie kompetencji w zaspakajaniu potrzeb publicznych pomiędzy rządem centralnym, a samorządami lokalnymi.

Przez możliwie dokładne rozgraniczenie kompetencji pomiędzy rząd centralny, a samorządy, Państwo przesuwa na samorządy część odpowiedzialności za najlepsze, najpełniejsze, najoszczędniejsze zaspokojenie pewnych potrzeb publicznych. Jednocześnie zaś wciąga do gospodarowania funduszami publicznymi szerokie rzesze obywateli, powołanych do reprezentacji samorządowych. Liczy się na to, że czynniki społeczne, gospodarujące decentralistycznie łącznie z samorządowym aparatem administracyjno - biurokratycznym, osiągną przy pomocy środków, postawionych im przez Państwo do dyspozycji, lepsze i pełniejsze wyniki w zaspokojeniu niektórych potrzeb publicznych, niżby to można było osiągnąć przy pomocy gospodarki scentralizowanej.

Ponad to element obywatelski, powołany do samorządu, co jest specjalnie ważne w naszych polskich

warunkach, otrzymuje w pracy samorządowej najpełniejsze i najbardziej wszechstronne przeszkolenie w umiejętności gospodarowania publicznego.

Im większą swobodę pozostawia się samorządowi w inicjowaniu i realizowaniu działań publicznych, tem on jest lepszą i wartościowszą szkołą życia i gospodarowania publicznego.

Pełnię umiejętności w gospodarowaniu można jednak wykazać dopiero wtedy, kiedy wysiłek należytego wykonywania pewnych zadań łączy się z wysiłkiem w zdobywaniu na nie środków.

* *

Piękna szkoła, dobra droga, asfalt, teatr, opieka nad zdrowiem ludności i długi, długi szereg innych zadań i obowiązków piętrzy się przed każdym polskim samorządem. Środki na realizację tych zadań mogą napływać różnemi drogami. Mogą być dostarczone z ogólnej puli funduszów publicznych, zwanej Skarbem Państwa, mogą być wypracowywane jako nadwyżki zakładów i przedsiębiorstw komunalnych, mogą również być przydzielane dysponującym samorządom w formie potencjonalnej: jako prawo obciążenia pewnych kategorii miejscowych płatników danin publicznych.

Jeślibyśmy doszli do wniosku, że aparat samorządowy powinien być wyłącznie sprawnym wykonawcą bardziej lub mniej szczegółowo sprecyzowanych zadań, zleconych mu przez rząd centralny — kwestia zasilenia związków samorządowych w środki finansowe sprowadziłaby się do rozważań nad ustaleniem klucza podziału funduszy publicznych, wyznaczonych z ogólnej ich masy do dyspozycji związków samorządowych. Dyskusja nad sprawą finansów komunalnych sprowadziłaby się wyłącznie do tego, jakie kryteria należy zastosować, aby uzyskać najsprawiedliwszy w stosunku do zadań przydział funduszy pomiędzy samorządy ziemskie i miejskie, gminy i powiaty, miasta wielkie i miasteczka.

Jeżeli jednak potraktujemy samorządy nie tylko jako dogodny i sprawny instrument wykonawczy, ale również jako instytucję kształcenia największej ilości obywateli w gospodarce społecznej — *musimy przyjąć jako podstawę naszego systemu finansów samorządu terytorialnego prawo samorządu nie tylko do samodzielnego wydawania grosza publicznego, ale również do pewnej samodzielności w jego zdobywaniu.*

Autonomia w zdobywaniu środków finansowych na wykonanie zadań publicznych — to w pierwszym rzędzie upoważnienie związków samorządowych do swobodnego, samodzielnego i bezpośredniego obciążania obywateli daninami.

Wychodząc z tego założenia, nie możemy uznać za odpowiadający pojęciu o samodzielności *system udziału* związków samorządowych w daninach, nakładanych na obywateli przez rząd centralny.

Ograniczoną samodzielność w zdobywaniu środków finansowych zyskują związki samorządowe przy *systemie dodatków komunalnych* do danin państwowych. System dodatków ulega szybkiemu skostnieniu, staje się zbyt zawiły: trudny do odcyfrowania dla obywatela, płacącego daninę, — nieprzyjemny dla reprezentacji samorządowych, zmuszonych do wtórnego niejako obciążania źródła podatkowego już raz przez rząd centralny obciążonego. Wytworzona w ten sposób konkurencja przy jednym źródle po pewnym czasie doprowadza do zupełnego ograniczenia swobody w obniżaniu czy też podwyższaniu przez samorząd dodatku; pozostaje tylko przykra i uciążliwa zarówno dla aparatu podatkowego, jak i dla płatnika, forma obliczeniowa i rozliczeniowa.

Pełną samodzielność w zdobywaniu środków finansowych zyskuje samorząd dopiero przez prawo samoistnego obciążania pewnych źródeł podatkowych, przydzielonych wyłącznie do jego eksploatacji. Ponad to przez prawo czerpania dochodów ze swego majątku oraz ze swych zakładów i przedsiębiorstw.

Biorąc powyższe pod uwagę, sądzę, że w naszych warunkach, wymagających od samorządu obok sprawnego wykonania pewnych zadań publicznych również kształcenia obywateli w gospodarności społecznej, samoistne daniny samorządowe oraz dochody z majątku i przedsiębiorstw powinny się stać podstawą finansów komunalnych.

Jeszcze jeden wzgląd przemawia za tem, aby zasadnicza reforma finansów komunalnych poszła w kierunku rozszerzenia uprawnień samorządów do poborów danin samoistnych. Przeciętny polski płatnik danin publicznych znosi obciążenie podatkowe jako dopust Boży i przeciwstawia się obciążeniom na sprawy publiczne wszelkimi możliwymi sposobami. Są jednak pewne potrzeby publiczne, które łatwiej i silniej przemawiają do wyobraźni naszego płatnika i nawet w pewnych wypadkach wywołują w nim gotowość do ofiarności. Są to zwykle potrzeby jego najbliższego środowiska: gromady, gminy, miasteczka, dzielnicy. To też ludność wiejska często godzi się dobrowolnie na dodatkowe obciążenia hektara, aby uzyskać nowy budynek szkolny; właściciele nieruchomości w miastach słabiej protestują, kiedy się ich obciąża kosztami urządzenia ulicy, przy której mieszczą się ich domy.

Dyskontowanie tego rodzaju momentów podniecających ofiarność płatnika w systemie fiskalnym państwowym jest trudne do pomyślenia; mogą i powinny one jednak odegrać poważną rolę w systemie danin samorządowych, obciążających najmniej wyrobionego płatnika wiejskiego.

Pełną możliwość podkreślenia celowości danego obciążenia zyskuje samorząd tylko przy daninach, pobieranych w formie podatku samoistnego. Typowym przykładem takiej samoistnej daniny są — najłatwiej uchwalane i najlepiej płacone przez wieś — opłaty drogowe.

Wydaje się, że do całkowicie samodzielnej eksploatacji powinny być samorządom odstąpione: na wsi — podatek gruntowy, w miastach — podatek od nie-

ruchomości i lokalowy. Podatki te nie posiadają większego znaczenia finansowego dla Skarbu, a na nich właśnie bazuje się cały system przeróżnych dodatków samorządowych. I te podatki realne stanowiłyby samodzielną bazę nowego finansowego systemu samorządowego, byłyby niejako podstawą manewrową samorządowych funduszy publicznych.

*

* *

Zaopatrując związki samorządowe w środki finansowe musimy mieć ciągle na względzie ich funkcjonalny związek z zadaniami publicznymi, przekazywanymi przez Państwo samorządom do wykonania. Każdy ze związków samorządowych: gmina wiejska, miejska, powiat — ma przekazane pewne idealne minimum obowiązków; do nich należą przede wszystkiem: pomocnicze obowiązki administracyjne (t. zw. poruczony zakres działania), utrzymanie szkół, utrzymanie dróg, opieka nad ubogimi. Obligatoryjność tych właśnie zadań jest obwarowana na wszelkie sposoby, od ich wykonania najsłabiej finansowo zaopatrzony samorząd uchylić się nie może. Jakość i powszechność wykonania wyżej wymienionych zadań, rozszerzanie działalności na inne agendy życia publicznego, zależy od właściwości gospodarczych społeczności, objętej danym związkiem samorządowym. Powiedzmy prościej — od wysokości dochodu, jaki wypracowują obywatele danej gminy, miasta, powiatu, województwa.

Aby utrzymać zaspakajanie potrzeb publicznych na poziomie właściwym stopie życia obywateli mieszkających na jego terenie, musi związek samorządowy partycypować w obciążeniu tychże obywateli na cele publiczne, w stopniu dostosowanym najbardziej do ich możliwości płatniczych. Do tego rodzaju obciążeń zaliczamy podatki, opierające się na dochodzie i przychodzie. Podatki te stanowią podstawę ogólnopaństwowego systemu finansowego. Odpowiedni udział związków samorządowych w tych podatkach, umotywowany koniecznością dostosowania poziomu zaspakajania potrzeb do stopnia zamożności danego środowiska, powinien stanowić drugi filar systemu finansów komunalnych.

Minimum potrzeb publicznych, przekazywanych samorządom do zaspakajania, zarówno pod względem zakresu, jak i pod względem poziomu zaspakajania, niezawsze w naszych warunkach da się zaspokoić, w granicach tych środków, jakie z obciążeń obywateli z terenu danego związku samorządowego poprzez podatki samoistne i udziały w podatkach przychodowych i dochodowych dadzą się uzyskać.

Zdarza się, że konieczności pozagospodarcze wymagają utrzymywania jednostek administracyjnych — gmin, miast, powiatów — o zamożności nie pozwalającej na najbardziej ograniczone zaspokojenie potrzeb publicznych ich obywateli. W tych wypadkach muszą być zasilane, przynajmniej częściowo, z środków finansowych, uzyskanych z innych terenów administracyjnych; mówiąc inaczej, z jakiejś wspólnej puli dochodów wszystkich związków samorządowych — względnie z dochodów ogólnopaństwowych.

To też trzecim elementem naszego systemu finansów samorządowych powinny się stać fundusze centralnie gromadzone i centralnie dzielone pomiędzy związki.

Podział ten powinien mieć na widoku wyrównanie dysproporcji w dochodach nie tylko pomiędzy indywidualnemi jednostkami samorządowemi, ale również pomiędzy rodzajami i grupami regionalnemi, a więc pomiędzy samorządami ziemskimi i miejskimi, pomiędzy grupą miast małych, średnich i wielkich itd. Wydaje się również konieczne, aby zależnie od wahań koniunktury, zmian sytuacji gospodarczej i występowania potrzeb specjalnych — podstawy podziału tych centralnie gromadzonych funduszy wyrównawczych mogły podlegać periodycznym rewizjom.

Państwo, pozostawiając ze względów administracyjno-gospodarczych i społeczno-wychowawczych samorządowi dużą autonomię w podejmowaniu zadań i obowiązków publicznych, musi sobie za pośrednictwem rządu centralnego zastrzec odpowiednie wpływy, aby programy działania i linie kierunkowe lokalnych inicjatyw i poczynań związków samorządowych były w zasadniczej zgodzie z aktualnymi programami i planami ogólnopaństwowymi. Nadzór nad samorządami wykonywany przez administrację rządową daje dobre rezultaty z punktu widzenia ogólnopaństwowego, o ile chodzi o to, aby działania związków samorządowych nie były sprzeczne z działaniami rządu centralnego. Są to jednak raczej osiągnięcia negatywne.

Stosując metody nakazu i zakazu, wydając jednostronne zarządzenia podejmowania pewnych zadań wyraźnie przerastających aktualne możliwości finansowe związków samorządowych, dezorganizuje się i demoralizuje wykonawczy aparat samorządowy, rozgorycza i drażni czynniki społeczne, odbiera instytucji samorządu najpoważniejsze walory wychowawcze: umiejętność gospodarowania w ramach samowystarczalności.

Realizacja pewnych części planów i programów, pomyślanych w skali ogólnopaństwowej poprzez samorządy jako komórki organizacyjno-wykonawcze, przy jednoczesnym zachowaniu i szanowaniu ich autonomii gospodarczej i samowystarczalności finansowej — wymaga innego oddziaływania.

To też, pragnąc używać samorządów do wykonywania pewnych specjalnych zadań aktualnie ważnych dla całokształtu gospodarki publicznej, — należy w systemie zasilania finansów samorządowych z góry *przewidzieć,* jako czwarty element tego systemu — *fundusze centralne,* rok rocznie *w budżecie ogólno-państwowym* przewidywane, na *premiowanie (częściowe dotowanie)* pewnych określonych zadań, podejmowanych przez związki samorządowe pod naciskiem specjalnych warunków; a więc dla przykładu: ogólnopaństwowa akcja budowy szkół, budowa i rozbudowa sieci szpitalnej, rozszerzenie sieci ośrodków zdrowia itp.

*

* *

Wymieniłem tutaj cztery podstawowe kierunki, w których, moim zdaniem, powinna pójść reforma finansów samorządowych, — a mianowicie:

1. rozszerzenie dotychczasowej podstawy samorządowych danin samoistnych przez oddanie samorządom do wyłącznego wykorzystania podatków realnych: gruntowego, od nieruchomości i lokalowego przy jednoczesnym całkowitym zlikwidowaniu zagmatwanego i uciążliwego systemu dodatków samorządowych do podatków państwowych:

2. zachowanie w podatkach, opierających się na dochodzie i przychodzie prawa udziału dla związków samorządowych, z tem, że możność samoistnego obciążania przemysłu i handlu na rzecz samorządów terytorialnych i gospodarczych pozostałaby jedynie pod postacią opłat rejestracyjnych;

3. rozwinięcie zasady funduszy wyrównawczych, centralnie gromadzonych i dzielonych w celu wyrównania dysproporcji w wyposażeniu finansowym samorządów z lokalnych źródeł dochodowych;

4. wprowadzenie systemu dotowania (premiowania) z budżetu ogólnopaństwowego specjalnych zadań i obowiązków, podejmowanych przez związki samorządowe, a idących po linii aktualnych planów i programów ogólno-państwowych.

Ponad to, reformując finanse samorządowe trzeba będzie rozważyć zagadnienie monopolistycznych przedsiębiorstw komunalnych. W chwili obecnej są one również bardzo wydajnym źródłem dochodów samorządowych, szczególnie w gminach miejskich. W cenach i opłatach, pobieranych przez te przedsiębiorstwa, kryje się poważna renta monopolisty, właściwie — podatek pośredni. W każdym razie w ogólnym rachunku sum, jakie w wyniku reformy będą postawione samorządom do dyspozycji, ta pozycja musi być również uwzględniona.

Zdaję sobie sprawę, że ustalając zwarty i logiczny system finansowy dla polskich samorządów musimy go ściśle wiązać i uzależniać od państwowego systemu obciążeń publicznych. Musimy również nawiązać do praktyki finansowania samorządów, jaka wytworzyła się w ciągu dwudziestu lat ich bytowania w Niepodległej Polsce. To też wyobrażam sobie, że zapowiedziana przez Rząd reforma w dużym stopniu będzie tylko świadomym uporządkowaniem wielu działających już obecnie na tym polu, ale nie skoordynowanych poczynań. Z tego wynika, że reforma ta nie może być ani nazbyt rewolucyjna, ani też oparta na teoretycznych i nie wypróbowanych na naszym gruncie wzorach.

KONSTANTY CZERNIEWSKI

DROGI KOORDYNACJI BADAŃ ROLNICZYCH

Mimo niewystarczającego stanu wiadomości o stosunkach wiejskich, prace badawcze nie są dotąd sharmonizowane. Rolnicze badania ekonomiczne i statystyczne powinny być uzgadnianie i nawzajem uzupełniane przy zachowaniu — rzecz prosta — pełnej swobody inicjatywy badawczej.

Jak w każdej dziedzinie działalności rolniczej, tak i przy rolniczych pracach poznawczych — różnie pogłębionych — występują nieraz poważne trudności. Nie zawsze brak środków jest tą przeszkodą zasadniczą. Hamulce, wypływające z niedomagań natury organizacyjnej, są czasem równie wielkie aczkolwiek trudniej wymierne co do formy i stopnia swego oddziaływania. Zagadnienia z tego zakresu były już na łamach tych poruszane [1]). Pragniemy tym razem wysunąć do dyskusji koncepcję dróg, jakiemi należało by zdążać do praktycznego rozwiązywania sprawy koordynacji. Luki w stanie naszych wiadomości o wsi ujawniają się najdotkliwiej przy planowaniu i realizowaniu polityki rolniczej. Dlatego w pierwszym rzędzie pod tym kątem budujemy nasze uwagi o potrzebie i technice koordynacji.

Badania stosunków rolniczych podzielić można na dwie grupy w zależności od celów i rodzaju komórek, przeprowadzających te badania. W grupie badań wykonywanych przez komórki naukowe przeważają cele naukowe, nastawione na głębsze poznanie zjawisk i dłuższy okres badania. Tematy są tu niejednokrotnie oderwane od bezpośrednich i aktualnych problemów życiowych, czasem zbyt teoretyczne, wobec czego w niektórych wypadkach przy ubóstwie źródeł można by niekiedy kwestionować przyjętą hierarchię badań. Niestety nie ma dotąd szerszej współpracy pomiędzy naukowemi komórkami badawczo-ekonomicznemi a jednym z największych konsumentów — agendami polityki gospodarczej.

W grupie badań wykonywanych przez polityków gospodarczych występują cele doraźne, nastawione na bieżące zadania praktyczne; nie ma głębszego poznania zjawisk, okres badania jest krótki. Niekiedy problem o wielkim znaczeniu gospodarczym, który wymagałby dłuższych studiów całego zespołu fachowców, „badany" jest w ciągu paru dni a nawet godzin. A wnioski są przecież wiążące i stanowią podstawę do zasadniczych decyzyj i dyspozycyj gospodarczych.

[1]) „Gospodarka Narodowa" rok 1937: Nr 5 — Biura Ekonomiczne; Nr 6 — Jeszcze o biurach ekonomicznych; Nr 7-8 — Ankiety; Nr 20 — Podręcznik dla ekonomistów.

Stwierdzamy zatem, że pomiędzy nauką a polityką rolniczą nie ma dostatecznego powiązania. Zdając sobie w pełni sprawę z właściwości i systemu poznawania naukowego, gdzie element niezależności badawczej i spokoju stanowi jeden z zasadniczych warunków, trudno jednak uznać za właściwe, gdy w ciszy pracowni naukowej przepracowuje się tematy niekoniecznie pilne i aktualne, rozłupując nieraz włos na kilka części, podczas kiedy posunięcia decydujące o powodzeniu naszej polityki gospodarczej nie znajdują oparcia w materiale faktycznym. Polityk gospodarczy i niektóre bardziej związane z życiem komórki badawcze mogą mieć uzasadniony żal do niektórych komórek naukowych, że pielęgnując nakazy teoretyczne systemu naukowego pozostają niewrażliwe na potrzeby życia, które przechodzi obok. A czasem nawet zamiast współdziałania ujawnia się nieuzasadniona dążność do krytykowania w oparciu o sztywne i niewzruszalne recepty teorii poznawania naukowego. O jakimkolwiek współdziałaniu nie ma tu oczywiście mowy.

Podnosząc potrzebę koordynacji widzimy zatem pierwsze zadanie — porozumienie pomiędzy nauką a polityką rolniczą. Byłby to problem koordynacji prac oparty o pełne zrozumienie obopólnych potrzeb i możliwości pomiędzy dwoma działami pracy badawczej: nauki — badającej z zawodu i — polityki, badającej z powodu braku danych dostarczonych w porę przez komórki badawcze. Zasadniczo biorąc politycy gospodarczy nie powinni wcale przeprowadzać badań. Jeśli to czynią — to jako smutną konieczność.

Drugie zdanie — to koordynacja *wewnątrz* grupy polityków gospodarczych.

Z różnic tych będą wypływały odmienne potrzeby i różna technika koordynacji. Co innego uzgodnić badania w grupie naukowej, gdzie po powstaniu inicjatywy badawczej jest jeszcze zawsze czas na uzgadnianie, a co innego w grupie badawczej polityki gospodarczej, gdzie przeważnie z chwilą stwierdzenia potrzeby poznawczej i powstania inicjatywy badawczej nie ma już czasu nie tylko na uzgodnienie ale i na badanie. *Decyduje tu stan znajomości zaopatrzenia rynku materiałowego w przystępne źródła.* Istnieje oczywiście pozatem liczna grupa badań powtarzanych systematycznie, które można uzgodnić i zmodyfikować.

Wiążąc wszystkie typy badań a więc: a) znacznie pogłębione — naukowe, b) średnio pogłębione — systematycznie prowadzone dla potrzeb polityki gospodarczej i c) mało pogłębione — doraźne, montowane często na poczekaniu dla bieżących decyzji, stwierdzimy potrzebę dwóch odmiennych pod względem charakteru kierunków koordynacji [2]).

Odróżniamy zatem: koordynację tematową i materiałową.

Koordynacja *tematowa* to podział tematów badanych i pilnowanie, by nie dublować tematów. W wypadku dublowania, co może być często celowe, powinno nastąpić uzgodnienie techniki dublowania, by wyniki mogły służyć do rzeczowej konfrontacji, bo tylko możliwość konfrontacji usprawiedliwia, w dziedzinach trudnych do poznania, dublowanie badań. Koordynacja tematowa, centralnie przemyślana, nie powinna pozostawić tematów, które by istniały bez opieki badawczej, nie narzucając tematów koordynacja ta ułatwi większe związanie ich z potrzebami życia.

Koordynacja *materiałowa*, byłaby uzgodnieniem w ściślejszym tego słowa znaczeniu. W stosunku do tematów, których składniki występują w różnych komórkach badawczych, względnie w stosunku do tematów dublowanych, powinna być ustalona technika doraźnego uzgadniania i ewent. organizacja wymiany materiałów. Jednym z elementów podstawowych koordynacji materiałowej byłaby centralna kartoteka informacyjna.

Całość zagadnienia koordynacji zawiera w sobie wiele poważnych trudności natury technicznej i prestiżowo-kompetencyjnej. Trudności techniczne — to wielkie rozproszkowanie badań zwłaszcza doraźnych, brak czasu na jakiekolwiek czynności rejestracyjne i w wielu wypadkach brak zrozumienia potrzeby koordynacji. Trudności prestiżowo-kompetencyjne to niechęć do uzgadniania, wypływająca niekiedy z przesadnego kultu dla t. zw. niezależności naukowej i, często, traktowanie działalności naukowej jako celu samego w sobie. Dlatego rozwiązanie całości problemu to prawdopodobnie zadanie narazie niewykonalne, należy iść drogą rozwiązań odcinkowych, stopniowo zdążając do wypełnienia całego programu. Wspomnijmy jednak wpierw o pełnym programie koordynacji, który jednak uważać narazie trzeba za program o teoretycznych możliwościach realizacji.

Przeprowadzenie pełnej koordynacji tematowej i materiałowej powinnoby stworzyć taki stan rzeczy, że każdy badacz czy to długofalowy czy doraźny wie dobrze, kto, gdzie i jak opracowuje lub posiada niezbędne mu materiały, nie podejmuje prac, znajdujących się na innym *dobrym* warsztacie, przeprowadza natomiast badania, których nauce i życiu gospodarczemu naprawdę brak.

Osiągnięcie postawionych wyżej celów sprowadza się do dwóch zasadniczych poczynań organizacyjnych: A. stworzenia centralnej *komórki opiniodawczo-koordynującej*, B. założenia centralnej *kartoteki rejestracyjno-informacyjnej* oraz wydawanie specjalnego *biuletynu*.

Spełnione zostaną w ten sposób dwa główne zadania koordynacyjne: uzgodnienie prac badawczych oraz uporządkowanie stanu wiadomości o źródłach i opracowaniach. Rozpatrzymy w sposób bardziej szczegółowy, jakiemi drogami powinnaby pójść realizacja tych dwóch zadań. Pierwsze zadanie to opracowanie szczegółowej i praktycznie zbudowanej *klasyfikacji zagadnień rolniczych*. Bez sporządzenia reje-

---

[2]) Dodamy na marginesie, że badania pogłębione mogą występować, rzecz prosta, nie tylko w komórkach ściśle naukowych. Np. Ministerstwo Rolnictwa pod naciskiem potrzeb bieżących przeprowadza obecnie badania, których pogłębienie jest dostatecznie duże, a więc np. rejestruje wszystkie siewniki w Polsce oraz bada trwałość prac scaleniowych przez szczegółowy opis każdego gospodarstwa w 60 wsiach scalonych przed 10 laty.

stru zagadnień trudno będzie ująć całość potrzeb koordynacyjnych. Każda komórka będzie upominała się i mówiła o tematach, które ją najbardziej obchodzą, wytworzy się w ten sposób obraz potrzeb zbudowany subiektywnie. Klasyfikacja zagadnień to punkt wyjściowy dla koordynacji badań i podstawa przyszłej kartoteki rejestracyjno - informacyjnej. Opracowanie próby klasyfikacji zagadnień (można to nazwać problematyką) powinno nawet poprzedzać jakiekolwiek próby uzgodnień, a przy pierwszych uzgodnieniach stanowić substrat do dyskusji. Z góry trzeba przewidzieć trudności klasyfikacyjne np. czy polityka rolnicza ma stanowić odrębny dział podzielony na poszczególne dziedziny działalności, czy ma być rozbita pomiędzy inne działy np. polityka inwestycyjna przy wymianie a nawozowa przy produkcji. Układ klasyfikacyjny stanowić będzie w dużym stopniu o skuteczności przyszłych prac kooordynacyjnych. Za punkt wyjściowy może tu posłużyć „Système de classification des sciences agricoles" opracowany przez Międzynarodowy Instytut Rolniczy w Rzymie dla celów bibliograficznych. Klasyfikacja ta o bejmuje ponad 2000 pozycji i wymagałaby dostosowania do polskich stosunków i to pod kątem potrzeb ekonomicznych a z wyłączeniem zagadnień technicznych.

Drugie zadanie to sporządzenie szczegółowego *wykazu* wszelkich *komórek*, prowadzących badania czy to więcej pogłębione czy doraźne.

Dla przykładu przytoczymy tylko nazwy komórek występujących pod mianem „Instytut", które przejściowo lub stale zajmują się poznawaniem stosunków wiejskich: Państwowy Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego, Instytut Badania Koniunktur Gospodarczych i Cen, Państwowy Instytut Kultury Wsi, Instytut Socjologii Wsi S. G. G. W., Państwowy Instytut Meteorologiczny, Instytut Gospodarstwa Społecznego, Instytut Spraw Społecznych, Instytut Badania Gospodarczego Ziem Wschodnich, Instytut Bałtycki, Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej, Instytut Badań Spraw Narodowościowych. Mamy samych tylko instytutów 11, a zapewne nie jest to pełny wykaz.

Wykonanie, chociażby nie zupełnie wykończone, dwóch pierwszych zadań daje dopiero podstawę do stworzenia centralnej komórki koordynacyjnej, która prace te pogłębi i doprowadzi do wyczerpującego załatwienia. Do spełnienia pierwszych dwóch zadań może narazie istnieć stosunkowo wąskie porozumienie. Do powołania komórki koordynacyjnej będzie już konieczne porozumienie i zgoda nieomal wszystkich agend badawczych. Stworzenie centralnej komórki to trzeci etap prac koordynacyjnych.

Centralna komórka koordynacyjna prowadzi omówioną wyżej: a) działalność opiniodawczo-koordynacyjną i b) kartotekę rejestracyjno-informacyjną. W programie minimalnym kartoteka zawierałaby wiadomości o źródłach i osobach kompetentnych w danym zagadnieniu, w programie maksymalnym kartoteka obejmowałaby i skróty materiałowe. Odbiciem działalności pkt. a) i b) byłby biuletyn informacyjny.

Zawcześnie byłoby teraz mówić o formie i przynależności organizacyjnej omawianej komórki uzgadniającej. Trzeba jedynie podkreślić, że podstawy techniki prac koordynacyjnych nie mogą opierać się na mechanicznym rejestrowaniu i schematyzowaniu tematów, lecz powinny być żywym wyrazem potrzeb i działalności nauki i polityki. Tak jak dziś istnieje, po części, uzgodnienie badań naukowych, wynikające z kontaktów osobistych i zainteresowań badaczy, tak i w działalności przyszłej komórki uzgadniającej powinnaby dominować metoda koordynacji oparta o najbardziej skuteczny i żywy czynnik jakim są — zainteresowania poznawcze.

Technika prac opiniodawczo - koordynacyjnych i kartoteki informacyjnej zależałaby w pierwszym rzędzie od stopnia uzgodnienia, które nie przyjdzie łatwo, jeśli będzie się odrazu stawiało na koordynację powszechną. Na to jednak zdaje się narazie nie można liczyć. Praktycznie biorąc w chwili obecnej można by przystąpić do uzgodnienia prac badawczych i zarejestrowania materiałów w pierwszym rzędzie w obrębie stołecznych komórek badań doraźnych i średnio pogłębionych. Uzgodnienie ze wszystkiemi komórkami na prowincji nie byłoby narazie aktualne. Pierwszy etap to rejestr i klasyfikacja tematów, opracowane w założeniu, że w przyszłości posłużą do najszerszych posunięć koordynacyjnych. Dlatego klasyfikacja ta powinna przejść przez opinię powszechną nauki i polityki gospodarczej czy to w drodze rozesłania projektu, czy ogłoszenia go drukiem. Będzie to zarazem pierwszy zastrzyk, propagujący potrzebę koordynacji, a uprzytamniający m. inn. w sposób już zupełnie konkretny wielkość luk poznawczych oraz tematów leżących odłogiem.

Upraszczając jeszcze bardziej zadania na najbliższą przyszłość, można narazie podjąć próbę zarejestrowania: materiałów, badań i potrzeb w stołecznych agendach polityki gospodarczej, traktując to jako podstawę do planowania „małej" koordynacji.

Jako wiążące się z poruszanymi wyżej tematami podnieść jeszcze trzeba sprawy: organizacji *przewidywania potrzeb badawczych*, oraz spowodowania rzeczowej, obiektywnej i bezwzględnej *krytyki naukowej*, która by skutecznie oddzielała plewy od ziarna oraz przyczyniałaby się do krytycznego oświetlenia badań i publikacyj „nie rentownych", gdzie przy dużym nakładzie pracy i kosztów (w ostatecznym wyniku prawie zawsze pokrywanych z funduszów publicznych) powstają materiały mało użyteczne.

JÓZEF GWACKI

PĘD ZA NOWOŚCIĄ

Jest taka anegdotka żydowska: „Panie Rabinowicz! Czy Pan wie, że pańska żona żyje z p. Chaimowiczem?"

— „Wielka rzecz! Jak ja zechcę, to też mogę z nią żyć."

Podejście t. zw. czynników miarodajnych do zagadnień rzemiosła i chałupnictwa ciągle naprowadza na myśl powyższą anegdotkę.

Na terenie rzemiosła i chałupnictwa istnieje szereg drastycznych paradoksów. Załatwienie tych spraw wywołujących niepotrzebne zamieszanie i zadrażnienie odkłada się ciągle do czasu generalnej nowelizacji prawa przemysłowego, lub do czasu wydania generalnej ustawy o chałupnictwie, byleby nie wykorzystywać uprawnień Ministra Przemysłu i Handlu, przysługujących mu na podstawie obowiązującego tekstu prawa przemysłowego. Jakieś rozporządzenia wykonawcze — też mi wielka rzecz! To przecież można zrobić w każdej chwili, a chodzi właśnie nie o normalną rozbudowę istniejącego ustroju prawnego, lecz o nowalijki ustawodawcze.

* *

Sprawa chałupnicza przechodzi ciężki stan chronicznego badania komisyjnego (to taka ministerialna choroba). Pierwszym zaś praktycznym krokiem w tej sprawie nie może być nic innego, jak walka z anonimowością przemysłu nakładczego. Dla zdecydowanego postawienia tego kroku wystarczy najzupełniej art. 7 i art. 39 prawa przemysłowego. Przepisy wykonawcze mogą nałożyć na nakładcę obowiązek ścisłego określenia swego procederu nakładczego i prowadzenia ścisłej ewidencji zatrudnionych chałupników. W art. 39 z punktu widzenia formalnoprawnego tkwi właściwie klucz do rozwiązania zagadnienia chałupniczego, przynajmniej o ile chodzi o stadium początkowe. Dwa zdania stwarzają szerokie możliwości: „Przemysłowiec ma prawo... skupywać dla potrzeb swego przemysłu towary u... wytwórcy...". „Minister Przemysłu i Handlu ustala drogą rozporządzenia... bliższe warunki wykonywania czynności określonych w ustępie poprzedzającym". Kupiec — nakładca jest przemysłowcem w rozumieniu prawa przemysłowego, a chałupnik chyba podpada pod pojęcie wytwórcy, zatem wzajemny stosunek między nakładcą a chałupnikiem może być regulowany na podstawie rozporządzenia wydanego w myśl przytoczonego przepisu prawa przemysłowego. Coś o tem pisano w „Polsce Gospodarczej" jeszcze w roku 1936 (zdaje się w Nr 28), ale widocznie logika à la p. Rabinowicz z anegdotki była mocniejsza.

Ramowa ustawa chałupnicza jest rzeczą naprawdę poważną, bo zahaczającą o byt setek tysięcy egzystencji chałupniczych. Warto zastanowić się, czy przed ostatecznym usztywnieniem ustroju prawnego chałupnictwa nie należało by raczej pozostawić na pewien okres swobodę manewrowania w ramach obowiązującego ustawodawstwa przemysłowego, chociażby dla zdobycia niezbędnego doświadczenia praktycznego.

Dzięki zeszłorocznemu strajkowi okupacyjnemu chałupnicy szewcy wywalczyli układ zbiorowy z nakładcami. Rozszerzenie tego układu na niezrzeszonych kupców w sezonie bieżącym wymagało nowego strajku okupacyjnego. Jeżeli nadanie przymusu układowi zbiorowemu na podstawie rozp. wyk. z art. 39 prawa przem. nastręcza formalne trudności — pozostaje jeszcze droga pośrednia, a mianowicie powołania przymusowego zrzeszenia nakładowców, zgodnie z art. 76 tegoż prawa.

Chroniczne strajki okupacyjne z jednej strony, chroniczne prace komisyjno-badawcze — z drugiej. Tam zaś gdzie chodzi o bolączki codzienne — z komisji parytetowej, powstałej w wyniku układu zbiorowego w gałęzi obuwianej wycofują się przedstawiciele inspekcji pracy, bo administracja państwowa nie ma ani sił, ani środków do „absorbowania się" tym zaognionym odcinkiem frontu pracy. Dokoła chałupnictwa bowiem, jak nad przysłowiowym dzieckiem kręci się dosłownie 7 nianiek: Ministerstwo Przemysłu i Handlu, Rolnictwa, Opieki Społecznej, Izby Rzemieślnicze, Przemysłowo-Handlowe, Rolnicze i związki zawodowe. Właściwego zaś organu dyspozycji i kontroli, jak nie było tak i nie ma.

Jeszcze jeden kwiatek z niwy chałupniczej. Tyle się mówi o ubezpieczeniu chałupników, więc warszawska Ubezpieczalnia społeczna uprościła sobie zadanie i w obuwianym przemyśle nakładczym, wykorzystując postanowienia art. 228 scaleniowej ustawy o ubezpieczeniu społecznym — ściąga składki w postaci jakiegoś nowego dodatku do podatku obrotowego. Składki są ściągane ryczałtowo, od obrotu. Dotychczas nie nastąpiło należyte uregulowanie tej sprawy, aczkolwiek bądź to w myśl ust. 5 art. 15, bądź też w myśl ust. 4 art. 16 ustawy scaleniowej można było i należało wydać rozporządzenie wykonawcze odnośnie ubezpieczenia chałupniczego. Tak lub inaczej, ubezpieczalnia swoje należności ściąga, tylko w jaki sposób biedny chałupnik przy obecnym systemie ryczałtowym może udowodnić swoje prawa do korzystania ze świadczeń ubezpieczeniowych?

Nie lepiej dzieje się z rzemiosłem. Dyskusja nad reglamentacją rzemiosła ciągnie się bodajże od lat 13. Po 13 latach jedno jest pewne, że zasady reglamentacji rzemieślniczej pozostaną nienaruszone, pomimo wszelkich projektów i deklaracji o koniecz-

ności zliberalizowania ustroju prawnego rzemiosła. Jeżeli jednak reglamentacja ma być utrzymana — to czas wreszcie pomyśleć o ustabilizowaniu tego systemu. Prawdopodobnie dlatego sejm przed zakończeniem sesji parlamentarnej pośpieszył się z nowelizacją prawa przemysłowego według wniosku posła Snopczyńskiego. Ta fragmentaryczna nowelizacja jest jeszcze muzyką przyszłości, bo musi przejść przez senat, a muzyka przyszłości zagłusza troski dnia powszedniego.

Jest cały kompleks zagadnień praktycznych, zabagnionych i zaognionych, stanowiących jaskrawy wyłom w podstawach systemu reglamentacyjnego. Rozwiązanie tego kompleksu jest swego rodzaju programem minimalnym, jeżeli chodzi o uregulowanie stosunków prawnych w rzemiośle i właśnie ten program minimalny swobodnie dałby się zrealizować w ramach wykładni dotychczasowych przepisów prawa przemysłowego, rozporządzeń wykonawczych i zarządzeń wydanych w trybie nadzoru. Konkretnie należało by uporządkować sprawę dyspens, egzaminów zawodowych, nauki rzemiosła i uzgodnić politykę reglamentacyjną z procesem polszczenia rzemiosła.

Największe być może rozdrażnienie wywołuje sprawa dyspens, zwalniania od normalnego dowodu uzdolnienia zawodowego na podstawie art. 146 prawa przemysłowego. Sprawa ta stanowi najpoważniejszy wyłom w systemie reglamentacyjnym rzemiosła. Przepis zastrzeżony w zasadzie dla wypadków wyjątkowych — stał się w praktyce niemal regułą. Ponadto udzielanie dyspens oparto na wyniku egzaminu kwalifikacyjnego, który w ogóle w prawie przemysłowym nie jest przewidziany.

Wydawanie dyspens osobom nie posiadającym nawet świadectwa czeladniczego należało by ograniczyć do bardzo nielicznych, istotnie wyjątkowych wypadków. Ponieważ określone w art. 146 pr. przem. uprawnienia władz przemysłowych i izb rzemieślniczych należą do zakresu t. zw. dowolnego uznania — nic nie stoi na przeszkodzie uregulowania sprawy dyspens w drodze zarządzenia ministerialnego, wydanego w trybie nadzoru.

Nie stoją również na przeszkodzie względy życiowe. Wystarczy uprzytomnić sobie, że patent ubiegający się o dyspensę musi wykazać się dłuższą praktyką zawodową (ok. 10 lat) i złożyć egzamin kwalifikacyjny, wnosząc dwukrotnie wyższą opłatę niż za egzamin czeladniczy. W tych warunkach skierowanie petentów na drogę normalnego dowodu uzdolnienia zawodowego w postaci egzaminu czeladniczego nie powinno przedstawiać trudności.

W związku z likwidacją dyspens w ich obecnej formie należało by ułatwić przystąpienie do egzaminu czeladniczego, upraszczając szereg wymogów natury formalnej.

Przez analogię do wygasłego postanowienia art. 198 u. 5 pr. przem. można byłoby na okres przejściowy od 1 do 2-ch lat — dopuścić do egzaminu czeladniczego wszystkich pracowników rzemieślniczych po wykazaniu się 5-letnią pracą zawodową, pod warunkiem ukończenia wieku 21 lub 24 lat, ewentualnie z zastrzeżeniem dodatkowego warunku: ukończenia krótkoterminowego kursu dokształcającego.

W pewnej mierze masowe ubieganie się o dyspensę i o dopuszczenie do egzaminu kwalifikacyjnego jest podyktowane nadmiarem dokumentów i formalności związanych z dopuszczeniem do egzaminu czeladniczego. Regulamin egzaminacyjny powinien ograniczyć ilość dokumentów do niezbędnego minimum, chociażby tylko do świadectwa przebytego czasu nauki w rzemiośle, które ma zawierać wszystkie inne, potrzebne dane osobowe.

Wreszcie należało by skasować dwutorowość instancji przy dopuszczaniu do egzaminu czeladniczego w wypadku braku świadectwa ukończenia szkoły dokształcającej.

W tych warunkach wszyscy ubiegający się o karty rzemieślnicze byliby zobowiązani do przedłożenia przynajmniej świadectwa czeladniczego. Dyspensa polegałaby nie na zwolnieniu od tego świadectwa, lecz na zaliczeniu praktyki odbytej przed złożeniem egzaminu czeladniczego, ewentualnie w stosunku: 2 lata pracy w charakterze pomocnika (po ukończeniu nauki rzemiosła lub pierwszych 5 lat pracy zawodowej) równowartościowe z 1 rokiem normalnej praktyki czeladniczej. W taki sposób dyspensa tylko nieznacznie odbiegałaby od normalnego dowodu uzdolnienia zawodowego.

Wystarczającą podstawę prawną dla wprowadzenia koniecznych zmian przy dopuszczeniu do egzaminu czeladniczego — stanowi art. 157 pr. przem. upoważniający Ministerstwo Przemysłu i Handlu w porozumieniu z M. W. R. i O. P. do wydawania odnośnych rozporządzeń wykonawczych.

Na tej samej podstawie można byłoby rozszerzyć uprawnienia cechów w dziedzinie egzaminacyjnej, czego rzemiosło domaga się bezowocnie od szeregu lat.

W niektórych zawodach (np. rękawicznictwo i czapnictwo) udział liczbowy rzemiosła polskiego kształtuje się szczególnie niekorzystnie. W tych właśnie zawodach procedura uzyskania dowodu uzdolnienia zawodowego powinna być przyśpieszona, a warunki znacznie złagodzone.

Z uwagi na konstrukcję art. 158 pr. przem. takie przyśpieszenie procedury jest wykluczone, o ile chodzi o egzaminy mistrzowskie składane przy izbach rzemieślniczych. Natomiast możliwe jest uregulowanie tej kwestii zgodnie z ust. 1 art. 158 pr. przem. przez utworzenie specjalnych komisyj egzaminacyjnych przy innych instytucjach. Do tego celu nadawałby się przede wszystkiem Naukowy Instytut Rzemieślniczy i jego oddziały, tembardziej, że Instytut ten prowadzi kursa dla omawianych zawodów.

Punktem wyjścia w akcji podniesienia poziomu egzaminów zawodowych powinny być konkretne programy egzaminacyjne. Brak ustalonych programów utrudnia kontrolę nad egzaminami, uniemożliwia ścisłe dostosowanie programów kursów dokształcających do wymogów egzaminacyjnych, uniemożliwia

też opracowanie wytycznych nauki zawodu w warsztatach rzemieślniczych. Wreszcie brak programów nie pozwala na skonkretyzowanie różnicy między egzaminem czeladniczym, mistrzowskim i kwalifikacyjnym. Uchwycenie tych różnic jest kwestią niezmiernie doniosłą ze względu na znaczenie egzaminów zawodowych w systemie reglamentacyjnym rzemiosła. W swoim czasie Związek Izb Rzemieślniczych podjął prace nad ułożeniem programów egzaminacyjnych. Prace te należy co rychlej zakończyć dla wszystkich zawodów.

W ramach rozporządzenia wykonawczego, przewidzianego w art. 116 ust. 10 i 11 pr. przem. jest możliwe uregulowanie prawie całego kompleksu spraw, związanych z nauką rzemiosła, jak: warunki wynagrodzenia, kontrola nauczania w warsztatach, selekcja warsztatów nadających się do wyszkolenia terminatorów, nałożenie na pryncypała obowiązku zgłoszenia ucznia do egzaminu czeladniczego z chwilą ukończenia nauki itd.

Losy reglamentacji rzemieślniczej, jakąkolwiekby postać ona przybrała — w sposób oczywisty są uzależnione od uregulowania punktu wyjściowego i podstawy całego systemu, czyli od uregulowania nauki rzemiosła. Rozporządzenia jednak wykonawcze, zapowiedziane w art. 116 — nie ukazały się pomimo upływu prawie 11 lat od czasu ogłoszenia ustawy przemysłowej.

Przytoczyliśmy kwestie, nadające się do załatwienia przed lub pomimo nowelizacji prawa przemysłowego, — a teraz wypada się zastanowić czy ostatnio uchwalona *ustawowa* nowelizacja jest doprawdy palącą i nieodzowną koniecznością. Rzemiosła koncesjonowane mogły być wprowadzone przez Radę Ministrów na podstawie art. 12 dotychczasowego prawa przemysłowego. Co do uprawnień cechów w dziedzinie gospodarczej należy stwierdzić, że rzekomy zakaz działalności gospodarczej jest raczej kwestią mylnej interpretacji.

Cechy mogły podejmować się i faktycznie podejmowały się zadań gospodarczych, bo klauzula wyłączności zastrzeżona na rzecz rzemieślniczych związków gospodarczych nie mogła mieć mocy wiążącej, dopóki nie powstał w danej gałęzi rzemiosła taki związek. Jeżeli ustawa przy wyliczaniu kompetencji cechów pomijała zadania natury gospodarczej, to jednak rozporządzenie wykonawcze mogło być zmienione przez wprowadzenie podziału zadań cechu na obligatoryjne i fakultatywne, z tem, że pominięte w ustawie zadania zostałyby wprowadzone do zakresu fakultatywnego.

*

* *

Zastraszający jest brak ciągłości i wytrwałości w rozbudowie i dopasowaniu do wymogów życiowych istniejącego ustawodawstwa przemysłowego. Zamiast tego, żeby oczekiwać na wydanie ustaw specjalnych lub na periodyczne lecz ułamkowe nowelizacje, czyżby nie było prostsze i bardziej owocne dążyć do naprawy istniejącego ustawodawstwa przez wykorzystanie wszystkich zawartych w nim legalnych możliwości?

U W A G I

CZY ETATYZACJA HANDLU ZBOŻEM?

Żadne chyba spośród przedsiębiorstw państwowych w Polsce nie było przedmiotem tylu dyskusji prasowych, sejmowych, na terenie samorządu gospodarczego, co P.Z.P.Z. Żadne bodajże poza Pezetami nie doczekało się pracy monograficznej w znacznej części poświęconej omówieniu działalności przedsiębiorstwa. Żadne na pewno nie miało w pewnej fazie tylu zwolenników, żadne też na pewno nie wywołało tylu krytyk i zarzutów. Dlaczego?

Bo Pezety to z jednej strony przedsiębiorstwo, z drugiej zaś pewna postać polityki gospodarczej, pewien kierunek polityki zbożowej, realizowanej właśnie poprzez działalność tego przedsiębiorstwa. Niestety olbrzymia część głosów na temat PZPZ. nie umie odróżnić tych dwóch zagadnień, które w praktyce splotły się w jedno, ale logicznie stanowią dwa różne problemy. Problem interwencji zbożowej, mógł być rozwiązany bez użycia w tym celu państwowego przedsiębiorstwa handlu zbożem, państwowe przedsiębiorstwo handlu zbożem mogło być powołane do życia bynajmniej nie w celach interwencyjnych. Niedostateczne uświadomienie sobie, że mamy tu do czynienia z konglomeratem problemów przypadkowym, nie zaś z nieuchronnym związkiem tych problemów, zaciążyło na wieloletnim rozważaniu kwestii P.Z.P.Z.-ów. Na ostatniej fazie dyskusji, spowodowanej przekształceniem P.Z.P.Z. na centralę spółdzielczą, zaciążyły ponadto plotki i świadomie szerzone fałszywe informacje [1]).

Spróbujmy zanalizować zagadnienie końcowej fazy działalności P.Z.P.Z. i przekształcenia ich na centralę spółdzielczą w oderwaniu od polemiki i kampanii prasowej, a natomiast na tle nieco szerszym, uwzględniającym „rzeczywistą rzeczywistość" polską.

Wielkie koszty polityki interwencyjnej, prowadzonej za pośrednictwem P.Z.P.Z. z jednej strony, a z drugiej nikłe wyniki tej polityki, postawiły już przed 3 — 4 laty na porządku dziennym kwestię przebudowy tej instytucji, dostosowanie jej do nowych założeń polityki zbożowej, względnie zlikwidowanie samej instytucji. Powzięcie decyzji ułatwione zostało znacznie przez fakt zwyżki cen zboża, która pozwoliła bez obawy wycofać się najpierw z zakupów interwencyjnych, następnie z premij zbożowych.

Gdyby traktować P.Z.P.Z. wyłącznie jako narzędzie interwencyjnej polityki zbożowej, to rzecz prosta jedynie właściwą decyzją z chwilą zaniechania zakupów interwencyjnych byłoby zawieszenie ich działalności i stopniowa, w miarę spłaty zobowiązań, likwidacja. Ale właśnie w okresie zaniechania zakupów interwencyjnych z całą plastyką wystąpiło na jaw, że rola P.Z.P.Z. nie ogranicza się przecież do stworzenia formy techniczno - organizacyjnej dla dokonywania stratnego eksportu zboża. Zadania P.Z.P.Z. w praktycznych warunkach rzeczywistości polskiej nie mniej ważne, a napewno mniej sporne niż stratny eksport, to zapewnienie dopływu kapitału do obrotu zbożem i wzmocnienie polskiego aparatu handlowego.

Polski handel zbożowy przed okresem działalności P.Z.P.Z. był całkowicie niemal w rękach bądź to firm zagranicznych, bądź firm gdańskich. Jedyny wyjątek stanowiła Centrala Rolników w Poznaniu, która zresztą po dzień dzisiejszy jest jedynym poza P.Z.P.Z. wielkim przedsiębiorstwem handlu eksportowego zbożem. Zarówno to przedsiębiorstwo, jak i inni mniejsi eksporterzy, nie są dostatecznie wyposażeni w środki obrotowe nie tylko na to, by stoczyć zwycięską walkę konkurencyjną z obcemi firmami zbożowemi, ale nawet na to by sprawnie w małej skali na marginesie tych firm pracować. Wyrazem tego jest brak tranzakcyj terminowych na rynku polskim, rynku szczególnie trudnym ze względu na wielkie skoncentrowanie podaży sezonowej.

Proste zlikwidowanie PZPZ-ów w imię słusznego, zdaniem piszącego te słowa, hasła zaniechania interwencji zakupów zbożowych, byłoby wylewaniem dziecka z kąpielą. Można różnie oceniać absolutny dorobek doświadczenia kupieckiego i kontaktów handlowych P.Z.P.Z.; nikt jednak nie zaprzeczy, że porównawczo na rynku polskim jest to dorobek największy, czy niemal największy, że jedna tylko Centrala Rolników reprezentuje wartości pokrewne. Można różnie zapatrywać się na kwestię, czy forma doprowadzenia kapitału do obrotu zbożowego bądź to przez państwowe przedsiębiorstwo, bądź to za pośrednictwem centrali spółdzielczej, operującej głównie państwowymi pieniędzmi, jest formą szczęśliwą, — nie można jednak zaprzeczyć, że proste wycofanie tego kapitału zaciążyłoby dotkliwie na całości obrotu zbożowego. Tylko doktryner, stawiający ponad wszystko czystość antyetatystycznej linii, może przejść do porządku dziennego nad temi sprawami i domagać się likwidacji P.Z.P.Z. tout court, bez zastanowienia się jak przechować i przekazać kapitał doświadczenia i kapitał w ścisłym tego słowa znaczeniu, zgromadzony przez P.Z.P.Z.

P.Z.P.Z. przez dwa blisko lata istniały w niezmienionej formie przedsiębiorstwa państwowego, prowadzącego jednak w przeciwieństwie do lat poprzednich działalność, opartą na czysto kupieckich zasadach, bez dokonywania stratnych tranzakcyj eksportowych. Szczęśliwie ten stan prowizoryczny dobiegł do końca dzięki utworzeniu Związku Gospodarczego

[1]) Do rzędu takich informacyj zaliczyć należy np. puszczoną w kurs z pozornie dobrze poniformowanego źródła i powtórzoną w następstwie przez kilka organów prasowych wiadomość o rzekomym przyznaniu monopolu przywozowego z szeregu krajów Związkowi Gospodarczemu Spółdzielni Rolniczo - Handlowych, powstałemu z przekształcenia PZPZ. Do tegoż rzędu należą informacje o rzekomej niechęci spółdzielczości do nowej formy organizacyjnej, informacje zresztą zdementowane najlepiej przez fakt przystąpienia do Związku Gospodarczego prawie wszystkich spółdzielni na terenie b. zaboru rosyjskiego.

Spółdzielni Rolniczo-Handlowych, z tem, iż instytucji tej Pezety przekazują lwią część swych środków obrotowych, a całą swoją działalność w zakresie eksportu zboża. Szczęśliwie — dlatego, że do chwili wspomnianej wyżej zmiany organizacyjnej nawrót do zakupów interwencyjnych mógł nastąpić w każdej chwili. Nie tylko dlatego, że z chwilą kiedy posiada się pewne narzędzie polityki, to istnieje stała pokusa korzystania z tego narzędzia. Również i dlatego, że konstrukcja organizacyjna P.Z.P.Z., a mianowicie odpowiedzialność państwa za całość zobowiązań P.Z.P.Z., umożliwiała — że się tak wyrażę — wciągnięcie państwa przez Pezety w każdej chwili w zakupy o charakterze stratnym, w politykę interwencyjną.

Stworzenie Związku Gospodarczego Spółdzielni Rolniczo-Handlowych, w którym udział państwa jest ściśle ograniczony do pewnej sumy a uprawnienia gestyjne podzielone są pomiędzy państwo a spółdzielczość z przewagą spółdzielczości, zamyka drogę do łatwego powtórzenia błędów polityki zbożowej z lat kryzysu. Czy to znaczy, że zakupy interwencyjne stają się z chwilą tej zmiany niemożliwe? — Nie. W zasadzie są one możliwe, tylko niepomiernie trudniejsze. Państwo oczywiście zawsze może przeznaczyć określoną kwotę na straty z tytułu zakupów interwencyjnych i powierzyć dokonanie tych zakupów na swój rachunek komukolwiek — firmom, spółdzielniom. Ale jest to zabieg trudny — wymaga on znalezienia z góry pokrycia budżetowego dla strat, wymaga on doraźnej, w pełni świadomej decyzji. Nie jest możliwe powtórzenie się drogi, którą nazwalibyśmy „od łyczka do rzemyczka", drogi, którą kroczyły interwencyjne zakupy w okresie kryzysu.

Istnienie Związku Gospodarczego Spółdzielni Rolniczo-Handlowych ani nie ułatwia, ani nie utrudnia ew. zakupów interwencyjnych, natomiast zaniechanie działalności przez Pezety wyklucza przypadkowe wkroczenie na drogę interwencjonizmu i utrudnia zbyt pochopne decyzje stosowania interwencji zbożowej. I to bodajże jest z punktu widzenia polityki gospodarczej najistotniejsze w dokonanej ostatnio przemianie.

Najistotniejsze, ale niedostrzeżone przez publicystów, którzy zajmowali się sprawą P.Z.P.Z. W oczach tych publicystów z p. F. Z. na czele stworzenie Związku Gospodarczego to etatyzacja handlu. — Trudno zetatyzować to czego nie ma[1]). Prywatnego handlu eksportowego zbożowego polskiego praktycznie nie ma, a Centrala Rolników przeciwstawiana Związkowi Gospodarczemu jako wzór, jako rzekomy przykład instytucji nie etastycznej wolnej od grzechu pierworodnego—związku z pieniędzmi skarbowymi — mało się różni od Związku Gospodarczego. Tylko powiązanie ze Skarbem Państwa jest inne. Udział Skarbu Państwa w Związku Gospodarczym biegnie poprzez kapitał wniesiony przez P.Z.P.Z., udział Skarbu Państwa w Centrali Rolników poprzez Bank Związków Spółek Zarobkowych i P.B.R. Oczywiście są różnice; przede wszystkiem formalna, odnośnie formy udziału Skarbu Państwa w finansowaniu tych dwóch przedsiębiorstw i merytoryczna. Wpływ Państwa na gestię Związku Gospodarczego jest mały, na gestię Centrali Rolników jest żaden. Ta różnica odpowiada różnicy wieku między obu instytucjami. Wolno mieć nadzieję, że za lat kilka i ta różnica zniknie.

Spróbujmy zastosować metody rozumowania Candide'a do omawianej sprawy. — Jeżeli Państwo zawiesza działalność przedsiębiorstwa zależnego wyłącznie od jego gestii, jeżeli zwolniony stąd kapitał oddaje do dyspozycji placówki mieszanej, jeżeli dobrowolnie ogranicza swoją możność interweniowania na rynku zbożowym — to to jest etatyzm. A gdyby Państwo sprzedało (za symboliczną złotówkę) Pezety z licytacji przekazując w tej czy innej formie zgromadzony kapitał doświadczenia jakiemuś przedsiębiorstwu prywatnemu i gdyby gwoli nie osłabienia pod względem kapitałowym obrotu zbożowego udzieliło poprzez bank państwowy kredytów przedsiębiorcom prywatnym (kredytów oczywiście nie zabezpieczonych dostatecznie, bo przy dostatecznym zabezpieczeniu nie można byłoby tak znacznych sum istniejącemu aparatowi handlowemu powierzyć) i gdyby ex re udzielonych kredytów wywarło ten normalny wpływ, jaki bank kredytujący na swego dłużnika wywiera — to nie byłby etatyzm.

Candide zrozumiałby doskonale te wywody, streszczając je na swój sposób: Jeżeli pieniądze dochodzą ze Skarbu Państwa do obrotu zbożem bezpośrednio lub przez P.Z.P.Z., to to jest etatyzm; jeżeli przez bank państwowy, to to nie jest etatyzm. Jeżeli pieniądze skarbowe trafią do organizacji spółdzielczej, to to jest etatyzm; jeżeli do spółki akcyjnej lub przedsiębiorstwa firmowego, to to nie jest etatyzm. Rozumiem.

Mam wrażenie, że spokojne rozważenie postulatów przekazania kapitału doświadczenia i kapitału w ścisłym tego słowa znaczeniu musi prowadzić do wniosku, że utworzenie centrali spółdzielczej w postaci Związku Gospodarczego było koniecznością, leżało w interesie obrotu zbożem i w interesie dostawcy zboża — rolnictwa.

Pozostaje jeszcze jeden problem. Czy ta droga działania nie defiguruje rozwoju spółdzielczości, czy wytworzenie w sposób sztuczny, na podkładzie kapitału państwowego centrali spółdzielczej nie grozi wykrzywieniem drogi rozwojowej spółdzielczości polskiej? Odpowiedź dla realisty jest prosta. Przede wszystkiem nie ma dwóch dróg. Jest droga ta, która działa obecnie i bezdroże prowadzące do nikąd. Widzimy przecież wyraźnie, że samoczynnie silne, zdrowe centrale handlowe nie powstają i że brak tych central jest czynnikiem hamującym rozwój terenowych komórek spółdzielczych. Rzecz jest zrozumiała, wynika z niskiego poziomu dochodu rolnictwa, z jego ograniczonych możliwości kapitalizacyjnych. Trudno marzyć o tem, ażeby aparat spółdzielczy, składający się z ubogich rolników, miał się sam przez się, bez pomocy państwowej, stać aparatem zamożnym, dysponującym dostatecznymi środkami. Hasło tworzenia central spółdzielczych własnymi środkami jest hasłem pięknym, ale nierealnym nie tylko w Polsce. Zarówno Węgry, jak kraje bałtyckie, słowem te kraje które nie mają czasu czekać przez 20 lat zmiłowania boskiego, wykorzystują środki państwowe dla rozbudowy central spółdzielczych. Co więcej, klasyczne kraje spółdzielczości jak

[1]) Opinia ta w niczem nie przynosi ujmy kilku obiecującym, lecz zupełnie drobnym prywatnym eksporterom zbóż.

np. Dania rozbudowę swej spółdzielczości i to nawet spółdzielczości terenowej, w olbrzymiej mierze oparły o środki państwowe.

Stworzenie w Polsce centrali spółdzielczej w oparciu się o te środki uważane jest za grzech. Z jednej strony przez grono że się tak wyrazimy ortodoksów spółdzielczych, słusznie troskających się o to, by ex re dostarczenia środków pieniężnych Państwo nie zechciało się nadmiernie mieszać do pracy spółdzielczości, nie ograniczało jej niezależności. Troska ta jest słuszna, godna szacunku, na szczęście jednak znalazła daleko idący wyraz w statucie Związku Gospodarczego. Natomiast w rzędzie obrońców niezależności spółdzielczej znaleźli się najzupełniej nieoczekiwanie także ci, którzy nie wykazywali żadnej troski o spółdzielczość póty, póki Państwo nie zdecydowało się na śmiały krok w kierunku dopomożenia jej rozwojowi. W tym wypadku napewno istnieje wielka rozbieżność pomiędzy motywacją a rzeczywistymi motywami zajętego stanowiska.

c. k.

NA MARGINESIE

Bezpośrednim punktem wyjścia tej uwagi jest dyskusja, jaka ostatnio rozwinęła się w okół zagadnienia zespołów, mimo, że nie chodzi mi o kwestię takiej czy innej organizacji przemysłu, ani też o kwestię przebudowy organizacyjnej interwencjonizmu. Wspomniana dyskusja uwypukliła jak sądzę z dużą plastyką, że usterki naszego interwencjonizmu wiążą się z dwoma zagadnieniami. Z nie dość generalnym ujmowaniem problemów gospodarczych i z brakiem dostatecznej znajomości szczegółowych zagadnień życia gospodarczego w administracji gospodarczej. Zupełnie niezależnie od zapatrywań na potrzebę i celowość tworzenia nowego narzędzia interwencjonizmu w postaci takiej lub innej nie państwowej, lecz od państwa uzależnionej organizacji (nawiasem mówiąc stosunek piszącego te słowa do tej koncepcji jest negatywny), jest rzeczą zupełnie wyraźną, że wiele sprzeczności i błędów w polityce interwencjonistycznej państwa powstaje nie z winy organów wykonawczych, tworzących politykę przemysłową na tym lub innym odcinku, lecz z racji niedostatecznie skoordynowanych i wyraźnych wytycznych działania dla tych organów. Oczywiście, pełnym lekarstwem na tę niedolę jest tylko wyraźny, długofalowy program, t. zn. coś co dotychczas w drodze spontanicznego dojrzewania myśli polskiej nie powstało, a jest niezmiernie trudne do wytworzenia i narzucenia ogółowi czy to przez jednostę, czy przez mały zespół. Dlatego traktując kwestię tego rodzaju programu jako zagadnienie zupełnie innego rzędu, pragniemy zwrócić uwagę na to, że już w dzisiejszych warunkach uważać by można było za zupełnie osiągalne wyraźniejsze i bardziej generalne formułowanie wytycznych polityki gospodarczej, i że zapewne dałoby się to osiągnąć bez jakichś ambitniejszych posunięć organizacyjnych. Poprostu jest regułą życia to, że ośrodki pochłonięte bieżącą polityką gospodarczą, ośrodki obciążone odpowiedzialnością za poszczególne odcinki tego życia nie zaś za całość, ośrodki wreszcie powołane do decyzji, a zatem najczęściej opierające się na diagnozie, dokonanej przez kogo innego, (w praktyce na dokonanej przez kogokolwiek, lub przez nikogo nie dokonanej), zagrożone są zawsze incydentalizmem, brakiem dostatecznej perspektywy w działaniu. Dlatego istotną potrzebą polityki gospodarczej w czasach, kiedy państwo przestało być stróżem nocnym i ma ambicję prowadzenia zwartej i na nieco dłuższą metę zakrojonej polityki, jest wytworzenie terenu, na którym dla użytku poszczególnych ośrodków dyspozycji gospodarczej byłaby przepracowywana szersza diagnoza sytuacji gospodarczej i jej kierunków rozwojowych. Wytworzenie ośrodka, który wyłaniałby generalne pytania, wskazywałby alternatywy, wśród których wybierać musi polityka gospodarcza. Nie wyjaśniam tej rzeczy bliżej, podkreślam jednak, że chodzi mi nie tyle o nową komórkę organizacyjną, co o pewien sposób wykorzystania sił już istniejących w administracji gospodarczej i reprezentujących znajomość pewnych odcinków zagadnienia, i że zadania, o których mówię, nie pokrywają się z zadaniami już istniejącego Instytutu Koniunktur. W obu wypadkach chodzi o diagnozę, lecz w Instytucie Koniunktur pole zainteresowania jest węższe, a podejście bardziej metodyczne; ponadto do zadań Instytutu nie należy to, co nazwaliśmy wyżej stawianiem pewnych alternatyw, wśród których wybierać powinna polityka gospodarcza.

Drugie zagadnienie, to zagadnienie fachowych wiadomości przy działaniach wykonawczych administracji gospodarczej. Nie ulega wątpliwości, że nigdy nie da się podnieść poziomu wiedzy fachowej w administracji gospodarczej i rozbudować tę administrację tak, by nie potrzebowała ona korzystać z pomocy eksperta. A tymczasem tu właśnie, w zagadnieniu ekspertyzy, mamy wybitne braki, polegające na tem, że ekspertami dla państwa są zainteresowani, często wręcz nawet ci, którzy o decyzję w pewnej sprawie się ubiegają. Mniemanie, że szyld „samorząd gospodarczy", a zwłaszcza szyld, „związek branżowy" zmienia gruntownie ludzi, że gwarantuje bezstronne nie pod kątem interesów parcjalnych informowanie państwa, jest oczywiście złudzeniem, Tak wiele wymagać nie można nawet od najbardziej uspołecznionych działaczy życia gospodarczego. W niektórych wypadkach, wtedy zwłaszcza, kiedy brak tego uspołecznienia, dochodzi do paradoksu, że pan X, jako prezes czy leader pewnej organizacji branżowej opiniuje podanie tegoż pana X, jako kierownika przedsiębiorstwa. Czasami spotykamy się z obiektywizmem naprawdę wyjątkowym. Czasami z cynizmem. Najczęściej zważywszy, że ludzkość nie składa się ani ze świętych, ani z łotrów, lecz poprostu z ludzi, ludzi ułomnych — z czemś pośredniem.

Cóż można w tej dziedzinie zrobić? 1. Powoływać zupełnie swobodnie poza hierarchią danego przemysłu takich ekspertów, których administracja gospodarcza — podobnie jak to czynią sądy — uzna za właściwych w danym wypadku. Sprawa jest łatwa, wystarczy zdecydować się na to, nie licząc się z drobnymi zadrażnieniami na tym tle. 2. Rozbudować znacznie stosowaną już obecnie czasami metodę przeciwstawiania sobie ekspertów, powołanych nie tylko z zainteresowanej gałęzi przemysłu lecz i spośród dostawców i odbiorców danej gałęzi przemysłu. 3. Szerzej wykorzystać placówki naukowe. Oczywiście warunkiem tego jest podsunięcie tym placówkom takiego kierunku pracy i badań, który może być bieżąco pożyteczny dla polityki gospodarczej. *t. k.*

NOTATKI

SPRZECZNE KOMPLEKSY

W Gazecie Handlowej i w Czasie (obu z 7.IV.38 r.) ukazały się artykuły o uratowaniu przez amerykańską bawełnę naszego eksportu hodowlanego. Leit motiw obu bliźniaczych artykułów jest ten sam: e-viva bawełna. Bliźnięta różnią się od siebie tylko głową i nogami, początkiem i końcem, gdyż korpus artykułu jest indentyczny. Zbędne napozór zestawienie powyższych akcesoriów, potrzebne jest dla zdania sobie sprawy ze źródła, z którego czerpały natchnienie oba pisma.

Przypomnijmy pokrótce sprawę. Eksport artykułów hodowlanych do Ameryki jest wart mniej więcej 3/4 improtu bawełny. Amerykańska Izba Niższa uchwaliła podwyżkę cła przy imporcie artykułów hodowlanych. Senat ją odrzucił. Wedle relacji cytowanych pism uczynił to „na skutek interwencji ze strony kół plantatorów bawełny i wielkiego amerykańskiego handlu bawełną, pozostających w stosunkach handlowych z polskim przemysłem bawełnianym". Przemysł polski miał rzekomo uświadomić zainteresowane koła amerykańskie o niebezpieczeństwie wprowadzenia prohibicyjnego cła na wędliny, gdyż „Polska musiałaby siłą rzeczy ograniczyć import bawełny". Stąd już prosty wypłynął wniosek, że „w ten sposób dzięki interwencji przemysłu bawełnianego uratowanych zostało 90% całego polskiego eksportu wędliniarskiego, gdyż taki udział w tym eksporcie przypada na rynek amerykański". W końcu zaś wystosowano odpowiednią reprimendę pod adresem rolnictwa, a właściwie działaczy rolniczych, którzy nie chcą zrozumieć tego, „że eksport rolniczy uzależniony jest ściśle od importu surowców przemysłowych". (O związek przyczynowy w tym zakresie możnaby się długo i skutecznie spierać, zaniechamy jednak tego jałowego zajęcia). „Jak bowiem wynika z powyższego drastycznego przykładu, rolnictwo nasze zostałoby usunięte z rentownego i rozległego rynku amerykańskiego, gdyby w jego obronie nie stanęła bawełna". Dystyngowany Czas, nie ujął sprawy aż tak drastycznie jak Gazeta Handlowa, wskazał jedynie na „jaskrawą współzależność wywozu rolniczego" (szczególnie hodowlanego — jakże mogło by być inaczej) z importem surowców przemysłowych.

Pozostawiam Związkowi Bekonowemu, bądź upominanie się o bobkowy liść z laurowego wieńca sławy, zdobiącego czoło bawełny, bądź też przesłanie jej w prezencie szynki w puszce za położone zasługi. Jedno i drugie jest aktualne przy Wielkiej Nocy. Mnie a zapewne i każdego szarego człowieka dręczy szereg pytań. Czyż doprawdy wszystko mamy zawdzięczać bawełnie, a nic — doskonałej jakości polskich szynek i smakowi amerykańskich konsumentów? Czyż nasze placówki w Ameryce i odpowiednie ośrodki polityki gospodarczej w kraju, nic nie uczyniły w tej mierze, jakby to wynikało z bawełnianego komunikatu? Czyż wbrew opinii hr. Dzieduszyckiego przysłowiowe owijanie sprawy w bawełnę [1]) stało się naraz aż tak skuteczne?

Nie wiem czy otrzymam odpowiedź na dręczące pytanie. Zawdzięczam jednak temu wypadkowi jeszcze jedną naoczną lekcję często spotykanych w Polsce sprzecznych kompleksów: niższości i wyższości zarazem. Niższość każe nam upokarzająco płaszczyć się przede wszystkiem co jest zagraniczne. Wyższość nakazuje postawić siebie samego najwyżej pośród... swoich. Wydobycie kompleksu z podświadomości ma, według zasad psychoanalizy, sprowadzać wyzdrowienie. Spróbujmy. Rzecz warta trudu.

Gdy w każdym zdrowym społeczeństwie zwycięstwo przypisano by chociaż w części sobie, a więc w danym wypadku znaczeniu dla bawełny naszego rynku zbytu itd., papuzia prasa każe wierzyć w zwycięstwo obce—bawełny. Herezja ze znaczeniem Polski jako rynku na bawełnę dla Ameryki wcale nie jest tak wielka jakby się napozór wydawało. W czasie panujących dążności do samowystarczalności, gdy każdy kraj, któremu na to pozwalają warunki przyrodnicze, zakłada u siebie plantację bawełny, gdy powszechne są próby z zastosowaniem kotoniny konopnej i lnianej, gdy produkcja i zużycie sztucznych włókien ciętych wzrasta niemal w postępie geometrycznym, w okresie utraty przez bawełnę amerykańską dotychczasowych rynków zbytu — nie tylko Polska, lecz i wielekroć mniejsi odbiorcy nabierają nieproporcjonalnie wielkiego ciężaru gatunkowego w stosunku do kupowanych ilości tego surowca. Powtóre kto może zaręczyć, czy w przypadku gdyby Ameryka wprowadziła u siebie prohibicyjne cła na wwóz wędlin, a my byśmy się zdobyli na niekupowanie tam bawełny, czy wówczas wreszcie nie ruszyłaby u nas z miejsca sprawa zastępczych surowców krajowych oraz czy wskutek tego nie nawiązalibyśmy nowych interesujących dla nas stosunków wymiennych. Nauka blokady kontynentalnej z czasu wojen napoleońskich w zakresie przędzalnictwa lnianego (Girard) oraz świeże doświadczenia z wojny celnej niemiecko-polskiej powinny być i zapewne są aż nazbyt przekonywujące nawet dla wszechmogącej bawełny i jej bałwochwalczych czcicieli w Polsce.

Gdy w każdej uczciwej publicystyce rzecz byłaby oceniona obiektywnie: każdemu wedle jego zasług (co bawełnianego — południowym stanom U. S. A. i Łodzi, wędlinowego — bekoniarzom, amerykańskim konsumentom i polskiej trzodzie chlewnej, a polityczno-handlowego — wszystkim, którzy się tym rzemiosłem parają ex officio i ex pecunia), u nas pragnie się zaraz zdyskontować na swoją wyłączną korzyść. Niezależnie od tego, czy to coś wyraża się w brzęczącej względnie szeleszczącej formie, czy też w postaci... bobka.

a. s.

---

[1]) Vide Boy.

ZAMIAST FELIETONU

Mieliśmy „Tydzień Kolonij". Czytaliśmy liczne artykuły o konieczności słusznego udziału Polski w dobrodziejstwa natury, która zaopatrzyła szereg krajów w życiodajne surowce, pamiętając o krajach potężnych, zapominając o słabszych.

Niektórzy sądzą, że domaganie się terenów ekspansji gospodarczej jest zupełnie zbyteczne, bo kolonie mamy w granicach własnego Państwa. Bliziutko. Wystarczy wsiąść do pociągu i pojechać do Baranowicz, do Pińska czy Łucka.

Przyjeżdża sobie człowiek na Kresy, wychyla głowę przez okno pociągu, by się nasycić ładnym widokiem, a tu nagle — tubylcy z dzidami, z tarczami wyskakują zza krzaków i robią człowiekowi „pik, pik". Tak, tak. Na Kresach — niebezpiecznie, tubylcy znajdują się jak wiadomo w stanie półdzikim, o poza tem w ogóle mają bardzo niedobre cechy charakteru, są źli, a na podniebieniach posiadają czarne plamy. Gdy ujrzą zdaleka człowieka, odzianego w spodnie „galifé" i w korkowy kask z „Old England", (w stroje te ubierają się zwykle lewiatańczycy w czasie podróży na nasze kolonie, tj. na Kresy Wschodnie), rzucają się natychmiast na niego i robią mu coś w rodzaju hara-kiri. To też z Kresami trzeba być bardzo ostrożnym! Niebezpieczny to kraj, pełen tajemniczości i niespodzianek, o niezwykle zagadkowym terenie, niedostępny dla człowieka cywilizowanego. Sam pan „namiestnik — gienierał gubiernator", nie zawsze sobie może z tubylcami poradzić. Tacy są nieznośni!

* * *

Istnieją w Polsce pewne grupy gospodarczo-społeczne, które do terenów wschodnich Rzeczypospolitej mają właśnie taki jak wyżej stosunek. Bez przesady; traktuje się te tereny nie jako współczynnik życia gospodarczego i państwowego, nie jako teren tworzący Państwo i biorący w nim czynny udział, lecz jako obszary passywne, jako rynki zbytu i wyzysku kolonialnego; w tym przekroju wyłącznie problem Kresów Wschodnich jest rozpatrywany. Zresztą przyznać trzeba sprawiedliwie, że owe grupy mają nie tylko do Kresów stosunek, który można określić jako „kolonialny". Wśród owej grupy znajdują się bowiem i tacy, którzy analogicznie ustosunkowują się w ogóle do polskiej wsi. Można sprzedać, czy nie można? A jeśli — tak, to ile można z tej wsi wydusić, jakie wyciągnąć zyski? Oto właściwy powód zainteresowania się nią.

Kiedyś zauważyłem w „Depeszy" artykuł p. t. „Kresy Wschodnie — to nasze kolonie". W krótkim tytule niezwykle jasno i dobitnie określono czem są Kresy dla grup, do których pismo to jest zbliżone. Wydaje się, iż nie jest moim zadaniem wyjaśnianie, jaki być powinien stosunek do Kresów Wschodnich i do wsi polskiej. Nie mam też zamiaru polemizować na ten temat. Ale zanotowałem powyższe, ot tak — dla pamięci.

m. a.

HOMO OECONOMICUS IN FLAGRANTI

„Po mieszkaniach" w Warszawie chodzą sprzedawcy płótna i innych białych tkanin. Z klientem zaczynają zazwyczaj rozmowę w łamanym polskim języku, wyjaśniając, że są cudzoziemcami, np. Czechami, którzy likwidują jakieś składy w Polsce, bądź legalną lecz bardzo skomplikowaną drogą sprowadzają materiały do Polski.

Powiedzmy, że pani domu chce kupić płótna lnianego najlepszej marki. Sprzedawca rozporządza właśnie doskonałym gatunkiem i wyjątkowo tanim. Wprawdzie napis na płótnie, który niczym nie różni się od znanej marki „Seko", jest nie „Seko" a „Neko" — lecz są po temu pewne b. skomplikowane, ściśle handlowe powody. Cena jest niska, sprzedawca mówi przekonywująco, proponuje rozłożenie na raty — warto więc kupić. Sztuka płótna jest duża — rachunek ponad 100 zł.

Sprzedawca wystawia „kwit-umowę", w której wyszczególniona jest suma ogólnej należności, wysokość dokonanej wpłaty oraz ewent. ilość i termin płatności rat.

Okazuje się, że cudzoziemiec — sprzedawca będzie zapewne długo w Polsce skoro sprzedaje na raty. Ciekawe, że raty płatne są nie w Warszawie, a w Krakowie — w zwykłej, jak szereg innych, firmie bławatnej. Ale refleksje te będą już spóźnione po zawarciu tranzakcji.

Na „kwicie-umowie" jest nadrukowany tekst precyzujący zwięźle sposób wykonania umowy i jej warunki. M. inn. zaznaczono, że sądem właściwym dla wszelkim sporów z firmą z tytułu umowy jest sąd w Krakowie. I tu tkwi genialność homo economicus sprzedającego ze składu w Krakowie klientom w Warszawie. Po zbadaniu sprawy okazuje się, że cena identycznego towaru wynosi najwyżej 1.70 zł za m., tymczasem kupiono za 3,10 zł za m. Tak wielka różnica pochodzi stąd, że sprzedany materiał marki „Neko" jest głównie bawełniany, podczas gdy „Seko" jest istotnie czysto lniany. Dochodzenie strat w drodze sądowej jest praktycznie uniemożliwione ze względu na właściwość sądu w Krakowie, określoną w umowie expressis verbis. Z jednej zatym strony nabywca ma w perspektywie wydatki związane z wyjazdem plus koszty sądowe i kłopoty, z drugiej zaś stratę na „płótnie" — ca 40 zł. Wniosek ostateczny: machnięcie ręką, trudno — stało się. Tak postępują prawie wszyscy klienci w Warszawie, nieznani sobie, rozproszeni w wielkim mieście. Zresztą jedna lub dwie przegrane sprawy na rok są bez wpływu na kalkulację handlową firmy krakowskiej.

Nabywca towaru mógłby nie zapłacić rat, jeśli kupno nie było gotówkowe, wówczas jednak zostanie przez firmę pozwany przez sąd w Krakowie; ta perspektywa sprowadza się do poprzedniej. Decyzja narzuca się zatym z całą oczywistością: trzeba płacić według rachunku.

P. S. Miasto Kraków jako siedziba firmy sprzedającej „płótno" nie zostało, niestety, wymienione przypadkowo.

p. t.

BŁAGALNE ŻĄDANIA

Niesensowne zestawienie wyrazów w tytule! Tak jest. Albo się błaga, albo się żąda. Kto żąda — nie zamierza narażać swego autorytetu i swej siły błaganiem. Kto błaga — nie próbuje osłabić swych próśb bezowocnymi żądaniami. Cóż zatem sądzić o afiszu propagandowym na którym figurują dumne słowa „żądamy" na tle rysunku, wyobrażającego błagalnie o litość wyciągnięte dłonie?!

„Gospodarka" niejednokrotnie, także i w ostatnich numerach, zwracała uwagę na manowce propagandy. Zazwyczaj szło o propagandę z funduszów prywatno-gospodarczych, rządzoną warunkami konkurencji, konkurencji dalekiej zresztą od idealnego prototypu książkowego, jak to ad oculos przypomniała notatka o kinach z Nr. 3 (Reklama negatywna).

Tym razem jesteśmy świadkami wielkiego nieporozumienia (najbardziej delikatne określenie omawianego faktu!) w dziedzinie propagandy kolonialnej, mającej działać społecznie i za społeczne pieniądze zorganizowanej. Całe szczęście, że afisz o niesensownym zestawieniu wyrazów i rysunku, minie zapewnie niepostrzeżony przez licznych przechodniów: jako szara plama zniknie wśród barw żywszych kolorowo afiszów. Całe szczęście — bo gdyby było inaczej, doniosły cel społeczny, jakiemu miał służyć swym propagandowym działaniem, zostałby zlekceważony, a może nawet ośmieszony.

Od kilku znajomych, których zapytałem o wrażenie, jakie sprawia nieudany afisz, otrzymałem następujące odpowiedzi - określenia:

a) „dlaczego nie ma na afiszu bochenka chleba, po który wyciągają się ręce bezrobotnego",

b) „wystają z pod ziemi ręce człowieka zakopanego żywcem", jak w czasie pewnej wojny z przed prawie 20 lat.

c) „ręce człowieka, któremu grozi iperyt".

d) „błagające dłonie mistyka".

e) „jakiś pomylony".

A zatem? Przypadek, błąd, nieuwaga czy wolna wola? I jeszcze pytanie — czy afisz podobny można wyobrazić sobie na ulicach miast niemieckich?

Pewna firma wystąpiła ostatnio z bardzo dobrym sloganem reklamowym: po swej nazwie zamieszcza dopis „magazyn zadowolonych klientów". Prosimy sobie przedstawić afisz, który by zawierał ten slogan na tle sylwetki pieniącego się z wściekłości dżentelmena. „Skandal" — powiedziałby właściciel firmy, wyrażając w ten sposób podziękowanie za współpracę swemu szefowi reklamy.

l. d.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
ALEKSANDER KWIATKOWSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.